Rok 1898. Lwów, dnia 8. sierpnia. Nr. 31.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

NOWA SZTUKA.

II.

Działalność literacka Stanisława Przybyszewskiego datuje się zaledwie od kilku lat. W r. 1893 ukazało się w handlu księgarskim jego dziełko pt. „Msza zmarłych“ *(Totenmesse).* Od tego czasu Przybyszewski napisał kilka powieści *(Unterwegs, Im Malstrom, Vigilien, De profundis, Satanskinder)*, parę doskonałych studjów psychologicznych *(Chopin und Nietsche Ola Hannson)* i sporo szkiców artystyczno-krytycznych, drukowanych przeważnie w berlińskiej *Kritik.* Sądzę, że dla bliższego zaznajomienia się z autorem, najodpowiedniej będzie przejrzeć dokładniej jego artystyczne *credo* które ukazało się w Berlinie pt. *Pro domo mea*, poprzedzając dzieło *De profundis.*

„W książce tej (tj. w *De profundis*) — mówi autor — porzuciłem zupełnie sferę t. zw. „normalnej myśli,“ sferę „logicznego życia umysłowego,“ życia „realnego.“ Każdy, kto choć trochę miał do czynienia z życiem duszy, wie, co „wolnomyślne mieszczaństwo pojmuje pod nazwą „normalnej myśli“: wszystko, co przekracza sferę pojęć czcigodnego Müllera i Schultza, jest naturalnie obłędem. To szanowne, urzędowe „życie umysłowe,“ którego prawa stosują się w równej mierze do najnędzniejszych „plebejuszów wykształcenia“ z gatunku Maksa Nordaua, jak i do najwięcej rozwiniętych i najprzenikliwszych arystokratów ducha w rodzaju Nietschego, zaczyna być strasznie nudne. Pojął to już Nietsche i napisał swe „warjackie,“ to jest najbardziej duchowe dzieło „Tak powiedział Zarathustra.“

„Poza głupim rozumem — mówi dalej Przybyszewski — istnieje jeszcze coś innego, coś *au delà* rozumu, nieznana siła, obdarzona rzadkiemi własnościami, istnieje dusza — dusza, która odczuwając wstręt przy nieustannem stykaniu się ze śmieszną banalnością życia, stworzyła dla siebie rozum, aby nie być zmuszoną do codziennej prostytucji. Surrogat tego niewidocznego życia duszy — życie logiczne umysłu, znamy już dostatecznie. Całkowity zysk wszystkich jego spekulacyj naukowych i filozoficznych jest — *ignoramus* i *ignorabimus*, a więc zupełne bankructwo jego wszystkich usiłowań desperackich. Artystycznym zaś zyskim — *risum teneatis amici* — jest naturalizm, bezduszna, brutalna sztuka dla tłumów, sztuka mieszczańska *par excellence, biblia pauperum* dla słabego „mózgu normalnego,“ dla leniwego, małodusznego mózgu plebejuszowskiego, który wszystko wyjaśnia, wszystko chce mieć uporządkowanem, który każdą głębię, każdą tajemnicę wyśmiewa, szykanuje i za obłęd ogłasza, ponieważ nienawidzi duszy i nie jest w stanie jej pojąć.“

A więc zupełny rozbrat z realizmem, z całą tradycją naturalizmu i dokryn materjalistycznych. Przybyszewski odrzuca całkowity dorobek myśli ludzkiej ostatniej doby, powstaje przeciwko wszystkim powagom, które stworzyły współczesną nam wiedzę pozytywną. Precz więc z Büchnerami. Vogtami, Straussami, Spencerami, z całą szkołą psychofizjologów, precz z tymi „dzielnymi“, jak ich nazywa autor. Przybyszewski domaga się innego nieco kultu:

„Ja — powiada — mam na myśli inną sztukę, sztukę, która w malarstwie ma za przedmiot nie banalny świat zewnętrzny, lecz świat, odbijający się w duszy podczas rzadkich chwil halucynacji i ekstazy. Nie myślę również wcale o bajecznych Leoncavallach i niezliczonych Mascagnich, lecz o czemś w rodzaju *Fiss-moll-Polonaise* Szopena, o tym straszliwym, nagim okrzyku duszy.“

Widzimy zatem, że Przybyszewski głębiej sięga. Odrzuciwszy i zdeptawszy śmiało wszystkie panujące obecnie pojęcia o sztuce, występuje z nowem hasłem artystycznem: szukajmy wizyj i halucynacyj, obserwujmy je pilnie, gdyż w nich tkwi wielkie źródło prawdziwej sztuki, w nich objawienie czystego życia duszy, „nagiego indywidualizmu.“ Idea ta nie jest oderwaną, nie dziś wyrosła. W starożytnej literaturze Wschodu ten rodzaj sztuki kwitł niezwykle, szczególnie jednak w Niemczech w wiekach średnich. „Żadna rasa — powiada autor — nie wydała tylu mistyków, a więc ludzi, biorących udział w czystem, wizyjnem życiu duszy, jak germańska.“

Jako przodka nowego pokolenia niemieckich artystów danego kierunku, wskazuje Przybyszewski Amadeusza Hoffmana.

Edgar Poë — zdaniem autora — opanował problemat duszy, jako naukowe *curiosum*, lecz z taką potęgą artyzmu, że zimny dreszcz nas wstrząsa. Potem następują rewolucje 48 r., które doprowadzają do obecnego stanu rzeczy, do rządów „wolnomyślnego mieszczaństwa,“ tak serdecznie znienawidzonego przez Przybyszewskiego. „O złote czasy materjalizmu i berlińskiego *Tageblattu*, dramatu naturalistycznego i wolnomyślnej polityki!“ — woła z gryzącą ironją. W ostatnich dopiero czasach występuje nowe, nieznane pokolenie artystów, uprawiające ów kult „czystego życia duszy,“ którego domaga się Przybyszewski. Do liczby ich należą: w Belgji obok Maeterlincka i Huysmansa — Verhaeren, Krains, Eckhond; w Skandynawji — Ola Hannson, w Polsce - Przesmycki (Miriam), w Niemczech Dehmel i Schlaf; Czesi są w tym kierunku najpłodniejsi (S. Machar, J. Karásek).

Te przejawy duszy, nawiedzające człowieka w rzadkich chwilach ekstazy, określa Przybyszewski, jako coś strasznego, obcego nam, z czego sobie niepodobna zdać sprawy; jako ideję, nie dającą się ująć rozumem, — zjawisko, powstające niezależnie od woli rozumu, wbrew jej. „Wolnomyślne mieszczaństwo — mówi autor — wszystko to uznało za obłęd, bajeczni psychjatrzy mieszczańscy znaleźli na to pyszne określenie „psychopatji“ a stara, słaba mózgownica, Maks Nordau, napisał nawet w tej kwestji dwa tomy.“ W tej „psychopatji“ Przybyszewski upatruje nie zboczenia umysłowe, lecz przejściowe stadjum w rozwoju mózgu ludzkiego. „Ja pojmuję duszę zawsze w najostrzejszej sprzeczności z rozumem. Oto wszystko.“ Wyrzeka się przytem wszelkiej akcji, sytuacyj, intryg itd., — jednem słowem wszystkich warunków budowy utworu literackiego. „Mnie nie trzeba akcji — mówi — ponieważ przedstawiam życie duszy, a akcja jest tylko kulisą duszy, źle malowaną kulisą.“

A zatem — życie duszy wyłącznie i jedynie!

Ciekawą więc jest rzeczą, jak Przybyszewski zapatruje się na życie zewnętrzne, na ludzi w ich życiu codziennem. Trzeba przyznać, że ideję swoją rozwija konsekwentnie.

„Nie należy znowu robić mi bezsensownego zarzutu, że patrzę na ludzi wyłącznie z punktu widzenia płciowości“ — powiada.

Nie, ma on inną miarę sądu. Nie obchodzi go wcale czy dany osobnik jest genjalnym spekulantem, czy nie; czy żyje w okropnej nędzy, czy też jest w stanie utrzymywać konie i metresy. Ludzie mają dla niego znaczenie o tyle tylko, o ile dostrzega w nich przejawy duszy. Wypadki podobne są sporadyczne, bardzo rzadkie, nawet jednorazowe. Przybyszewski upodabnia je do zejścia Ducha Świętego na apostołów.

„Mnie — mówi — obchodzą jedynie zagadkowe, tajemnicze objawienia się duszy ze wszystkiemi towarzyszącemi im zjawiskami, z dreszczem, wizją, z tak zwanymi stanami psychozy. Mówię, że należałoby mi oszczędzić zarzutu, nie ośmielam się jednak tego spodziewać. Lecz zarówno, jak nie p radzę nic przeciw temu, że w w wiekach średnich przejawy duszy mają miejsce li tylko w zakresie życia religijnego, tak też nie jestem w stanie zmienić faktu, że w naszych czasach dusza przejawia się wyłącznie we wzajemnym stosunku płci. Można duszy robić z tego zarzuty, lecz nie mnie. Mówiąc o objawieniu się duszy w życiu płciowem, nie mam, rzecz prosta, na myśli nędznej, wyzywającej, komiczno-pikantnej erotyki w guście Guy de Maupassanta, ani słodko-wstrętnej spódniczkowej poezji w rodzaju Piotra Nansena, ani też — karmnej obojętności małżeńskiego łoża. To, o czem ja myślę, jest bolesnem, pełnem strachu poczuciem nieznanej a srogiej potęgi, która dwie dusze rzuca na siebie nawzajem, usiłując je sprządz w bólu i męczarni; ja mam na myśli intenzywną męczarnię miłosną, w jakiej łamie się dusza, nie będąc w stanie złączyć się z drugą; myślę o olbrzymiem uczuciu pogłębienia w miłości, gdy w duszy odczuwa się działanie tysięcy pokoleń, — tysiące stuleci bólu i znowu bólu tych pokoleń, co zginęły w szale miłosnym przez gorączkę tworzenia przyszłych generacyj. Ja mam na myśli tylko duchową stronę w życiu miłości: to coś nieznanego, zagadkowego, ten wielki problemat, rzucony po raz pierwszy poważnie przez Schopenhauera w jego „Metafizyce miłości,“ — naturalnie z niewielkim skutkiem, gdyż logiczne środki nie wystarczają nielogiczności duszy. Nasze czasy, nie mające wogóle ani jednego problematu, któryby nie był rozwiązany przez „najgłębsze umysły“, znają miłość, tylko jako kwestję sanitarną lub ekonomiczną; nic więc dziwnego, że dla mieszczańskiej sztuki miłość przedstawia się, jako mniej lub więcej duchowa droga do finansowo i zdrowotnie unormowanego łoża małżeńskiego.“

Aby dokładniej wyłożyć swój pogląd na życie płciowe i kobietę, Przybyszewski powołuje się na słynnego malarza Felicjana Ropsa, który zdaniem jego przeniknął głębiej tajemnice i otchłanie życia płciowego, niż którykolwiek z poprzedzających go filozofów. „Popatrzcie na jego dzieła — mówi — a pojmiecie, co nazywam objawieniem się duszy w życiu płciowem“. „Dla Ropsa kobieta jest straszną siłą kosmiczną. Jego kobieta — to ta, która obudziła w mężczyźnie płciowość, przykuła go do siebie tysiącem chytrych wybiegów, wychowała dla monogamji, rozproszyła męskie instynkty, osłabiła je, spaczyła i wysubtelniła, pierwiastki jego pożądań w inne formy wtłoczyła i zaszczepiła mu w krew jad swych żądz szatańskich. I w bolesnej ekstazie twórczej Rops zawiązuje nanowo węzły, łączące nas z naszymi przodkami średniowiecznymi. Nie jest już mężczyzną, stawiającym swe życie na szalę za śmieszną cenę pięciominutowej rozkoszy. Nie cierpi już pod uciskiem kobiety. W dzikiej nienawiści powstaje przeciw strasznej, niszczącej sile i staje się fanatycznym oskarzycielem, który we wściekłości, wbrew własnej naturze, oddałby kobietę na śmierć na stosie, *aby tylko oswobodzić świat od „największego zła“ — od kobiety.* I na tym punkcie zgadza się zupełnie ze średniowiecznymi djabologami. Przeczytajcie doktorów: Bodinusa, Sinistrari, Del Rio, Sprengera. Dwa światy zlewają się nawzajem i spotykają w jednem i tem samem poznaniu wizyjnem podstawy całego bytu, podstawy bólu i męczarni.“

Tak wygląda wyznanie wiary Przybyszewskiego. A sztuka? Sztuka jego — to wcielenie idei z siłą pierwszego impulsu młodego temperamentu twórczego.

(Dok. nast.)

Jan Zakrzewski.

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

Wicehrabia de Rancy był przyjacielem Giorgia; spotykali się w klubię, w ambasadzie francuskiej i w ministerstwie spraw zewnętrznych.

— Chętnie pana przedstawię — rzekł wicehrabia na jego prośbę — ale czy ona jest tutaj?

— Z pewnością.

— Tak? Ale czy panu wiadomo także, że z powodu swego nadwątlonego zdrowia spędza zimę we Włoszech? Jest straconą, a jeżeli pan się chcesz starać o jej względy, to musisz się spieszyć.

Po krótkiem poszukiwaniu znaleźli ją w jednym z salonów, zwieszoną u ramienia posła rosyjskiego. W licznem towarzystwie zwracała ta blada, jasnowłosa kobieta na siebie ogólną uwagę, przedewszystkiem wskutek delikatnego wdzięku swej postaci; każdy jednak oglądał się za nią, tak panie jak panowie, może wskutek blasku jej wielkich, szarych z zielonawym odcieniem oczu, które błyszczały tak silnie jak jej brylanty we włosach, albo też może wskutek elegancji jej sukni, która do niej przylegała jak skóra węża.

Obydwaj przyjaciele zbliżyli się do niej, gdy stała przed kominkiem. Zoczywszy ich, nadchodzących, z jakimś gniewnym ruchem zmarszczyła brew i w lustrze rzuciła na Giorgia spojrzenie, tak jasne i zimne, jak kryształ, w którym się odbiło. Potem odwróciła się zupełnie i patrzyła mu przez dwie, trzy sekundy bystro w oczy.

Pani de Rancy zdawała się mieć słuszność: hrabina przyjęła przedstawienie bardzo chłodno. Skłoniła tylko lekko głowę, nie patrząc na Giorgia, nie zważając prawie na niego i oddaliła się, skoro tylko zapisał swoje nazwisko w karneciku, który mu podała.

Doprowadziło to do sprzeczki, która doprowadziła do pojedynku, pomimo iż sekundanci Giorgia i majora Guidoni, znanego szermierza na szpady, starali się sprawę tę załatwić pokojowo. Jak się zdawało, hrabina z kaprysu podała Giorgiowi karnecik, chociaż ten był zapełniony, a La Ferlita bez namysłu wykreślił nazwisko Guidoni i wpisał swoje. Guidoni jako człowiek światowy, skłonił się tylko, usłyszawszy od hrabiny, że to zajście jest dla niej niesłychanie przykre, i z uśmiechem, nie drgnąwszy ani jednym muskułem twarzy, oddalił się, a potem zamienił z Giorgiem kilka słów, usunąwszy się z nim cokolwiek na bok. Hrabina tego wieczora już nie tańczyła więcej, zresztą wogóle tańczyła mało, a gdy Giorgio chciał ją poprowadzić do kontredansa, który zyskał w tak śmiały sposób, spostrzegł, że wychodzi, nie patrząc wcale na niego, tak, jak gdyby sobie nic nie przypominała.

Czy zależało jej co na tem, który z tych dwóch młodych ludzi zapłaci życiem za jej kaprys, godny Rzymianki z cyrku?

Podczas gdy Giorgio leżał w łóżku, wielu przyjaciół dowiadywało się o jego zdrowie, oddano wiele kart wizytowych, między innemi i tę bez nazwiska, którą mi pokazywał La Ferlita.

*

Nareszcie zatem spotkali się. Aczkolwiek wicehrabina udzielała dobrych rad, aczkolwiek instynkt wzajemnego egoizmu błyszczał wyraźnie prawie wrogą nieufnością we wzroku obojga, gdy ich spojrzenia skrzyżowały się po raz pierwszy: — przypadek, magnetyczna siła przeciwieństw, fatum, postawiło ich sobie oko w oko, i od tego pierwszego razu powstało między nimi coś niewyrównanego... Z jej strony nieprzetańczony z nim kontredans, z jego zaś kawałek skóry i kilka kropli krwi, a później może jeszcze co innego.

W hrabinie tkwiła cała lubieżność, cała kapryśność, cały przesyt i cała nerwowa niecierpliwość natury jednocześnie dzikiej i rafinowanie cywilizowanej. Była tak samo cyganką lub kozaczką, jak paryżanką — a w kocich źrenicach jej oczy paliły się niejasne, namiętne żądze. Jak Giorgio, tak i ona lubiła nieustannie gnać w powozie lub w saniach w zawody z wichrem, który smagał jej policzki i na ustach zostawiał swe ślady w postaci drobnych a wdzięcznych zmarszczek. Wszyscy przed tem współczesnem bożyszczem palili kadzidła: mąż, który się z nią ożenił, mężczyzni, którzy się starali ukraść ją mężowi, kobiety, które jej zazdrościły jej klejnotów i jej wdzięku. Wielka ludzka namiętność, w imię której ją czczono, wiła się u jej stóp, powtarzała jej ciągle ten sam hymn pochwalny i spotykała ją wszędzie: na balach, w teatrze, w towarzystwie, w pochlebnych słówkach i pragnących spojrzeniach. Ona jednak, którą ustawiono na tym piedestale, nudziła się i odczuwała tylko palącą ciekawość.

Jeden, raz jeden, jedyny tylko, to tajemnicze uczucie, ten szał, ta forma ogólnego ubóstwienia ogarnęło ją od stóp do głów jak płomień i przyprawiła o stan, podobny do gorączki. Później, gdy ludzie patrzyli na jej marmurowe czoło i jej zimne oczy na balach, niktby nie przypuszczał, że szalejąca w niej namiętność dusi ją prawie, i z wszystkich burz, jakie szarpały jej duszą, z błędu jednej chwili nie pozostało ani śladu, nic, jak tylko bezlitosny uśmiech kokieterji i jakaś pożądliwość błyszczącego wzroku, który zdawał się szukać czegoś, pociechy, wspomnienia, zemsty. Już nie była sceptyczną, lecz nieufną, podejrzliwą, ostrożną dla siebie samej, a okrutną i kapryśną dla drugich.

Ze spotkania się tych dwóch wytworów jednej z najbardziej chorobliwych narośli cywilizacji, musiała bezwarunkowo i nieuniknienie wyniknąć albo tragedja albo farsa; coś podobnego, co się dzieje przy zetknięciu się dwóch prądów elektrycznych. Giorgio bowiem, był kobiecym, kobiecym we współczesnym, eleganckim stylu — dobrym szermierzem, a jeżeli tego wymagały okoliczności, człowiekiem, który bez namysłu, dla jakiegoś kaprysu, stawiał na kartę życie, — istotą, która z urojenia stawała się namiętną i zżywała się z wiarą w tę namiętność do tego stopnia, że ta namiętność stawała się dla niego rzeczywistą i niepokonaną.

W duszy hrabiny drzemała gwałtowna potęga chorobliwej, zmiennej i kapryśnej, a jednak silnej i stanowczej

namiętności, w połączeniu z sercem lodowatem i palącą siłą wyobraźni.

Jego wyposażyła natura w całą wrażliwość, delikatność uczuć i słabość kobiety — ją w męską gwałtowność, siłę czynu i chęć panowania.

Rozdział III.

Zima przyszła szara i ponura. Giorgio zobaczył hrabinę w alejach. Aczkolwiek otulona była w futro, a piękne słońce listopadowe świeciło na jasnem niebie, siedziała drżąca z zimna i skulona w rogu swego powozu. Była blada i wychudła, a w oczach jej, które jakby roztargnione błądziły po wierzchołkach drzew ogołoconych z liści, malowało się pewne znużenie. Gdy się spotkały ich oczy, zbladła na chwilę.

Czy wiedziała o tem, że był we Florencji, że go spotka? Czy życzyła sobie tego spotkania?

La Ferlita siedział z swą Palmirą w powozie, porzucił jednak Palmirę i powóz na wielkim placu przed gmachem restauracyjnym i, pobiegł z powrotem; nie dogonił jednak hrabiny a i w następnych dniach nie udało mu się zobaczyć jej, tak, że postanowił zasięgnąć wiadomości u wicehrabiny de Rancy.

— Tak — odparła ta — wiem o tem, że znowu tutaj bawi, ale sama, nie widziałam jej jeszcze. A czy pan wie, że jest bardzo chora?

— Naprawdę?...

— Powróciła, aby przepędzić zimę we Florencji, lekarze bowiem wątpią, aby mogła przeżyć jeszcze dwa lata i dlatego zalecili jej klimat włoski.

Giorgio zdawał się być roztargniony; zaczęli mówić o rzeczach obojętnych, a gdy wkrótce potem weszło kilku gości, rozmowa stała się ogólną.

— Może pani sobie wyobrazić — mówił La Ferlita w chwili,. w której nie zwracano na nich uwagi, do wicehrabiny — co człowiek odczuwa, gdy jest kochankiem kobiety, której dni są policzone.

— Mój przyjacielu — odparła, rzucając na niego spojrzenie — o tem nie posiadam najmniejszego pojęcia; wiem jednak, co nakazuje serce. Daj jej pan pokój, biedaczce, to będzie najlepszem dla was obojga.

W dwa dni potem otrzymał lakoniczny bilecik od wicehrabiny.

„Przyjdź pan we czwartek; *ona* będzie".

— Wiadomość moja zamieniła zapewne pańską krew w żywe srebro — pytała pani de Rancy, widząc, iż Giorgio przybył przed dziesiątą — a przychodzisz pan dlatego zapewne, aby się zapytać: dlaczego i w jaki sposób? Rzecz się ma tak, jak panu pisałam: zamówiła się sama, ale *dlaczego*, to chyba pan tylko mi na to odpowie.

— Gdybym tylko wiedział!

— Naturalnie, gdybyś pan tylko wiedział! Z kim pan byłeś w sobotę w alejach?

— Pytała się o to?

— Ciekawski! Z kim pan tam byłeś?

— Nie przypominam sobie w ogóle, czy ubiegłej soboty byłem w alejach.

— Tak jest.

— Byłeś pan sam?

— Nie.

— Aha, teraz wiem: *dlaczego*. Więcej nie potrzeba.

Zostawiła go samego, chociaż widziała doskonale, iż ma się jej jeszcze zapytać o tysiące rzeczy i poszła powitać dwie nowoprzybyłe panie.

Czwartki wicehrabiny de Rancy były zawsze bardzo ożywione i dlatego też jako pani domu była bardzo zajętą. Przed drugą nad ranem nie mógł się Giorgio spodziewać dalszych wyjaśnień, to też tymczasem starał się pocieszyć albumem z fotografiami,

Około jedenastej, przyszła Nata, elegancka jak zawsze, ale oczy jej spoczywały głęboko w jamach i widocznie uciekła się do środków upiększających. Giorgio widział ze swego miejsca jak wchodząc rzuciła wzrokiem po towarzystwie, jakby kogoś szukała. Obydwie przyjaciółki przywitały się bardzo serdecznie i poszły razem do przyległego salonu, ale przyszłemu dyplomacie pomimo wszystkich sztuczek machiawelistycznych nie udało się zwrócić uwagi hrabiny na siebie. Dopiero w chwili, gdy miała odchodzić, zauważyła go w bliskości fortepianu i z wyciągniętą dłonią i naturalnym, niewymuszonym uśmiechem podeszła do niego kilka kroków.

— Dlaczego mnie pan nie odwiedziłeś? zapytała po włosku a mówiła tym językiem biegle, aczkolwiek z cudzoziemskim akcentem.

Ponieważ nie dałaś mi pani na to pozwolenia — odparł Giorgio trochę zdumiony.

— Jeżeli nic więcej, to daję je panu dwa razy — odparła i podała mu także lewą rękę. — Jestem co dnia od czwartej do szóstej w domu — ciągnęła dalej, zostawiając obie ręce w jego dłoniach. — Jeżeli pan mnie chce zastać, przyjdź po czwartej.

— Pozostaje pani przez zimę we Florencji? — zapytał Giorgio z ukłonem i odprowadził ją do drzwi.

— Nie wiem. Lekarze twierdzą, że klimat północny mnie zabija. Moje zdrowie nie wiele jest warte, jak pan sam zapewne widzi... — Jej biust przybrany sznurami pereł był biały i delikatny. — Może zostanę do marca albo do czerwca, słowem, sama jeszcze nie wiem. Mówiłyśmy wiele o panu, ja i wicehrabina. Czy to prawda, że pan wyjeżdza na parę miesięcy?

— To zależy od tego, jak mną rozporządzą.

— Każ się pan przenieść do Petersburga; będę tam w czerwcu albo w lipcu.

Po tych słowach potrząsnęła jego ręką, jak ręką starego kolegi, i poszła.

— Co panu powiedziała? — zapytała wicehrabina, gdy Giorgio się z nią żegnał.

— Wezwała mnie abym jej złożył wizytę.

Wicehrabina wybuchnęła śmiechem, naturalnie dyskretnym, niesłyszalnym śmiechem, który zaledwie pozwalał widzieć jej piękne, błyszczące ząbki.

— Wydaje się być lepiej dla pana usposobioną?

— Tak.

— Coprawda, uróżowała się trochę... Biedaczka! chciałabym, aby lekarze się mylili. A wie pan, że mówiłyśmy o panu? Opowiadała mi, że mąż mój jej pana przedstawił.

— Nic więcej?

— Nie, ale śmiałyśmy się z pańskiego uporu, coprawda więcej ja niż ona. Jedno jednak chciałabym panu powiedzieć, abyś się nad tem poważnie, bardzo poważnie zastanowił. Obawiam się, że ten żart może się stać gorzkim, a to byłoby wielkiem nieszczęściem — ciągnęła dalej, gdy Giorgio wzruszył ramionaami. — Dotychczas obawiałam się tylko o pana, pomimo pańskiego umysłu, znajomości świata i pańskiej dyplomacji. Tymczasem, znam pana dostatecznie, aby wiedzieć, że jakaś podróż, order, baletniczka, przegrana przy zielonym stoliku uleczyłaby pana... Ale teraz — Nata jest chora i za

słaba; ma za wiele nerwów, za wiele wrażliwości... Czy ja wiem? Słowem: niebezpieczeństwo leży teraz zupełnie po jej stronie. Ma w sobie coś niezwykłego, coś chorobliwego.

Teraz Giorgio nie uśmiechnął się więcej.

— Co pani sądzisz zatem o tej kobiecie?

— Uważam ją za wdzięczną blondynkę, nie piękną ale przystolną, nadzwyczaj elegancką, także w salonie wydaje się bardzo dobrze. Ma świetne brylanty, piękne nazwisko, mąż jej jest wielkim panem, osobistym przyjacielem cara i zajmuje wysokie stanowisko.

— I co więcej?

— O więcej się nie pyta, mój kochany. Nic, albo wszystko. Otul się pan w swoje różowe sny, jakiegokolwiek one są rodzaju i ubierz się pan w jedwabie i koronki...

— Jeżeli pani miała na celu to, abym się zakochał w hrabinie — zawołał Giorgio starając się uśmiechnąć, ale z pewnym odcieniem gniewu — to rzeczywiście nie mogła pani lepiej, albo... gorzej zacząć.

— A teraz idź pan, La Ferlita — rzekła wicehrabina, powstając nagle. — Jest już późno i oboje jesteśmy tak zmęczeni, że zaczynamy pleść głupstwa. Jutro, albo pojutrze, zobaczysz pan ją przecie. Możesz pan sobie zostać jej przyjacielem lub kochankiem, albo zastrzelić się dla niej, jak tamten. Dobranoc!

Rozdział IV.

Willa, w której mieszkała hrabina, znajdowała się na Viale Principe Amadeo. Okna jej wychodziły z trzech stron na ogród szeroki pięćdziesiąt metrów, prawdziwy ogródek w formacie kieszonkowym, ale dawały widok na San Ebiniato i wdzięczne skręty Viale dei Colli. Zielone kląby ogródka, nie większe od bilardu, i karłowate drzewka tworzyły ładny pierwszy plan dla nowej, gładkiej i bogato udekorowanej fasady i dla okien, które błyszczały barwami portjer, gdy na nie padało słońce.

WACŁAW STACHIERSKI

IMPRESJE.

Na dno.

Skocz w ciemne nurty duszy, rozkrzyżuj ramiona,
Głową pruj czarną falę i wężowym ruchem
Wkręć się w toń, co z warczeniem ustępuje głuchem.
Przeszyj głąb, jakby strzała z łuku wypuszczona,
Skocz w otchłań, co tam leży czarna niezmierzona,
Choćbyś miał głowę strzaskać albo pierś rozedrzeć!
Chwilę choćby przed skonem: serce toni przejrzeć,
A potem, tajemnicy, trupem paść w ramiona!

* * *

Myślałem dawniej, że chociaż ciernistę
I chociaż smutne zwykle bywa życie,
Można je przeżyć jak ptaki w błękicie,
I unieść serce, myśli, skrzydła, czyste.

I można z okiem utkwionem w promiennem
Widmie nadziei po urwiskach kroczyć,
Nigdy w trzęsawisk obszary nie zboczyć,
Przejść życie krokiem lunatyka sennym.

Teraz inaczej. Teraz wiem, że w głębi
Duszy są marne pożądania skryte,
Co po uciechy wyciągają dłonie.

A ze szelestem spłoszonych gołębi,
Ranami szponów jastrzębia okryte
Marzenia lecą w jasne nieba tonie.

W zwierciadle duszy.

Światło pękami barwnymi tryska
Na skraju lasu i między drzewa,
Gdzie sennym głosem ptak pacierz śpiewa,
Garściami cienie i blaski ciska.

Staw rozmarzony jak odaliska
Wolnym się ruchem w łożu przelewa,
A kiedy czasem wiater powiewa
Widać we wodzie odbić zwaliska.

W zwierciadle duszy tak cicho leży
Odbicie światła — świetlane, senne,
Obmyte z kurzu, złotem oblane...

Lecz kiedy wiater musnął zwierciadło,
Widzenie jasne w falach przepadło
I tylko szczątki — drżą potrzaskane.

Mokry Elf.

Różowym blaskiem lśni oblana rzeka.
W lasy pierzchają mgieł-muślinów strzępy.
Na tamtym brzegu jaskrów żółtych kępy
Jak plamy złote błyskają zdaleka.

Na niebie blady sierp-księżyc się bieli,
I zwolna barwą zefiru powleka;
Z mokremi skrzydły wyszedł Elf z kąpieli,
Drży i na ciepłe ranne słońce czeka.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Po przeczytaniu tych paru wyrazów, Albin dziwnego doznał uczucia. Niedawno jeszcze był pewnym, że Malwina albo o nim zapomniała, albo poprostu ignorowała jego oświadczyny. Teraz już wiedział, że nietylko się tem nie uraziła, iż śmiał do niej pisać, ale owszem sama mu naznacza schadzkę. Na tę myśl, która mu na nowo krew zburzyła, zapomniał i o Ninie i o wszystkiem w świecie; jedno uczucie nim owładło, jedna myśl utkwiła mu w mózgu, że uspokoi się zupełnie, gdy ją zobaczy, gdy pomówi z Malwiną. A potem będzie już inny, odda się cały swej Ninie ukochanej, ucieknie z miasta i będzie szczęśliwy.

Potrzebował ogromnie wiele mocy nad sobą, ażeby się nie zdradzić przed Niną, gdy z miasta powróciła i szczebiotać po swojemu znowu poczęła, rozpoczynając na nowo przerwane wyjściem na miasto projekty co do przyszłego rodzinnego pożycia. Roztargniony słuchał Albin tego wszystkiego, prawie nie wiedząc, co Nina mówi do niego, tak cała jego istota zajętą była myślami o jutrzejszej schadzce. Żaden głos rozsądku nie przemawiał do niego w tej chwili. Pragnął teraz gorąco znaleść się sam, ażeby oddać się cały słodkim marzeniom o tem jutrze, które go rozkoszą i zarazem obawą przejmowały. Na szczęście Nina tak była zajęta krzątaniem się około gracików dla przyszłego swego potomstwa, tak była dziś pewna, że Albin o niczem innem także nie myśli, iż nie obserwowała go, gdy się mienił, mięszał i tylko czekał, aby się ten dzień i ten wieczór skończyły. Zdobywał się na całą siłę woli, aby wytrwać do końca i odetchnął spokojnie całą piersią dopiero, gdy się za nim drzwi jego sypialni zamknęły. Teraz dopiero mógł się cały oddać rozpamiętywaniom o przyszłej schadzce i układaniu planów co do jutrzejszego dnia, jak to urządzić, ażeby nie zwrócić niczyjej uwagi, a przedewszystkiem, jak zacząć, gdy stanie nareszcie w obec Malwiny, w tem słodkiem sam na sam. Mimo bowiem, że go niepowstrzymaną siłą coś ciągnęło do tej kobiety, bał się jej przecież. Tyle razy próbował przy spotkaniu z Malwiną, uzbrajać się w odwagę, aby się na niej zemścić za doznaną niegdyś odprawę, usiłował być spokojnym i zimnym, bo czuł że tylko tą bronią ją pobije; a jednak ile razy spotkał się z jej palącem spojrzeniem, ile razy temi głębokiemi oczyma na dno jego duszy zajrzała, mięszał się, tracił odwagę i stał w obec niej jak pokorny sługa, czekający na rozkazy swej pani.

I teraz, choć tyle godzin dzieliło go od tej chwili stanowczej, która nareszcie zadecyduje o jego spokoju, drżał jak w febrze, bo miał tę pewność, że nie potrafi utrzymać w równowadze namiętności, która go pożerała. Miewał chwile wśród tych rozmyślań, przewracając się niespokojnie na łóżku, że chciał już zrezygnować z widzenia się z Malwiną. Coby jednak na to powiedziała? Nazwałaby go tchórzem który się zląkł jednej kobiety, albo pogardziłaby nim, że prosząc ją o schadzkę, jak o największą łaskę, zlekceważył ją sobie i nie przyszedł. Ambitny był na tym pierwszym punkcie; nie chciał być tym tchórzem, obawiającym się kobiety, choćby nawet tyle niebezpiecznej Malwiny. Bardziej atoli obawiał się pogardy, a może nawet i zemsty obrażonej dumy kobiecej, tej kobiety, która bądź co bądź stawiała dobre imię na kartę, przyjmując u siebie męża drugiej kobiety....

Po długiej walce ze sobą samym, powziął — niech się co chce dzieje, — postanowienie pójścia na schadzkę z Malwiną. Na skrupuły, jakie mu sumienie czyniło, że czemraz więcej zdradza Ninę, że zwłaszcza teraz, gdy spodziewał się niezadługo zostać ojcem, tam bardziej myśl o Malwinie głowy mu nie powinna zaprzątać, przyrzekał sobie, że to tylko raz jeden i ostatni, wierzył nawet, że to go zupełnie uspokoi i że potem o Malwinie więcej nie pomyśli. I znowu gdy pomyślał, że udało mu się osiągnąć to, czego zapewne żaden z adoratorów kobiety takiej jak Malwina, nie osiągnął, dumny był biedak i cieszył się, jakby Bóg wie jakim skarbem. Odbierały mu te myśli i postanowienia sen najkompletniej; nad ranem dopiero usnął i za przebudzeniem się znowu powracały wczorajsze plany z całą siłą, tak że nie mógł się im opędzić.

Jedna jeszcze myśl go trapiła. Czy wypadało pójść do tak dystyngowanej i światowej kobiety w zwyczajnym stroju codziennym? Przyzwoitość nakazywała przystosować się do przyjętych w towarzystwie zwyczajów; ale z drugiej strony, gdyby się chciał przebrać galowo, jak i czem upozoruje coś takiego przed Niną. Znała dobrze i wiedziała o jego stosunkach, nie mógłby się więc w tym wypadku wykłamać przed żoną. Obudziłby zresztą może a nawet całkiem pewnie, drzemiące w jej duszy podejrzenie, które gdyby się odkryło, mogło fatalnie wpłynąć na nią ze względu na stan, w jakim się znajdowała. Trapiła go ta okoliczność bardzo i dumał jakby z tego wybrnąć. Śmiesznem mu się wydało, o czem pomyślał, ażeby się iść przebrać do którego z przyjaciół. I tam musiałby kłamać, a to kłamstwo wydałoby się jeszcze bardziej niż w domu podejrzane. Co więc miał biedny zrobić? — Ha! przeprosi Malwinę za to uchybienie formom towarzyskim, a ona, wyrozumiała, przebaczy mu, gdy uwzględni jego wyjątkowe położenie.

Jeszcze jedna myśl go trapiła. A nuż zechce się Ninie wyciągnąć go po obiedzie na przechadzkę; to było bardzo możliwe i tego się najbardziej obawiał, bo w takim razie wszystkoby przepadło. Zależne więc było teraz wszystko od Niny, bo przecież, gdyby zażądała, chybaby nie mógł jej odmówić towarzystwa. I dlaczego? czy miał jakie ważne interesy do załatwienia? Żadne.

Ku jego wielkiej uciesze, aż do obiadu na nic się nie zanosiło. Obiad zjadł więcej z musu; podrażnionemu oczekiwaniem i wewnętrznym niepokojem, potrawy ledwie przez gardło się przesunęły, bał się nawet ażeby mu co nie zaszkodziło, a musiał udawać. Nina otem wiedziała, że cieszył się zawsze dobrym apetytem.

Gdy wstali od obiadu a zbliżyła się godzina schadzki z Malwiną, Albin liczył w duchu minuty. Nina zapytała go czy gdzie wychodzi. Gorąco mu się zrobił na to zapytanie, zupełnie zresztą naturalne, bo się bał ażeby żona nie objawiła chęci pójścia z nim razem Odpowiedział jej niby obojętnie, że zostaje w domu.

— Ależ wyjdź, mój kochany — rzekła Nina czule — przejdź się trochę, czas ładny.

— A ty? — podchwycił żywo.

— Ja nie wyjdę nigdzie — odparła, — mam zajęcie, a zresztą głowa mnie trochę boli i czuję się trochę niedysponowaną.

Niby to niechcąc, Albin nieskończenie był wdzięcznym Ninie, że mu sama poddała sposobność ulotnienia się z domu. Mimoto począł jej perswadować, że może lepiej będzie, gdy przy niej — cierpiącej — zostanie, ale ona uparła się przy swojem, że nigdzie nie wyjdzie, ani widziała potrzeby więzić go przy sobie dla lekkiego bolu głowy. Tem więcej nakłaniała go i nagliła, aby szedł.

Pomyślał, ze dobrze będzie, gdy się na każdy sposób ubezpieczy na wypadek, gdyby dłużej zabawił u Malwiny. Nawiasem więc obojętnym na pozór tonem zauważył, że może wracając z przechadzki, na chwilkę do teatru wpadnie. Nie tylko niemiała nic przeciw temu, ale owszem zachęcała go, ażeby się trochę rozerwał...

Tak mu było pilno z domu się wydostać, że musiał się formalnie przymuszać, aby się nie zdradzić przed Niną niezwykłym pospiechem Pożegnał się z żoną nadzwyczaj czule i wpadłszy do swego pokoju, z pospiechem włożył futro i wybiegł.

Jakby mu się ziemia paliła pod stopami, zaledwie minął róg ulicy, gdzie mógł być jeszcze przez Ninę z okna śledzony, przyspieszył kroku. Atoli gdy tak przebiegł parę ulic i wszedł w tę, przy której Malwina mieszkała, zwolnił kroku i począł się zastanawiać nad tem, co powie tej pięknej kobiecie, gdy przed nią stanie za chwilę. Wśród choasu myśli, wśród niepokoju, miotającego nim od wczoraj, niemiał poprostu czasu pomyśleć o tem; doprawdy niemiał pojęcia, jak zacząć, i jak student, męczący mózgownicę nad wyrobieniem trudnego zadania, tak Albin porządkował w swej głowie słowa, któremi miał zacząć ambarasowną z Malwiną rozmowę.

Nie mogąc ze samym sobą przyjść do ładu, przystanął na ulicy i myślał, czyby nie było lepiej teraz, kiedy jeszcze czas, zrezygnować ze wszystkiego i wrócić się do domu, do Niny, zwalczyć nieczyste myśli, pokonać namiętności i nie pomyśleć więcej o zdradliwej czarodziejce.

Myśl ta wydala mu się na chwilę bardzo rozumną, ale tylko na chwilę, bo zaraz odezwała się w nim ambicja, że naraziłby się na wzgardę kobiety, odezwała się obrażona niegdyś duma, a nad tem wszystkiem górowała chęć słodkiego sam na sam z piękną kobietą, i to ostatnie nie dało mu usłuchać głosu rozsądku.

Poszedł dalej, jak złodziej oglądając się z jednej i drugiej strony, czy go kto ze znajomych nie spostrzeże. Pod bramą kamienicy raz jeszcze rzucił okiem dokoła i znikł w sieni.

Malwina zajmywała całe piętro niewielkiego domu. Wejście na schody było osobne, nie było więc obawy, ażeby go ujrzał ktoś ze współlokatorów. Wbiegł szybko na schody, ale gdy stąpał już po miękkim kobiercu, wiodącym na pierwsze piętro, zdawało mu się. jakby mu kto ciężkie kamienie do nóg poprzywiązywał. Raz jeszcze wróciły mu do głowy skrupuły, jakie mu się nasunęły przed chwilą na ulicy, ale zapóźno było już wracać.

Drżącą ręką pociągnął za guzik od dzwonka elektrycznego. Kości były rzucone; niemógł już teraz, jak tchórz uciekać z powrotem. Za małą chwilę służący otworzył mu drzwi. Albin popatrzył na niego i dostrzegł zaledwie widoczny uśmiech na twarzy sługusa. A może mu się tylko tak zdawało?

Zrzucił futro, oddając je lokajowi i sięgnął do kieszeni, po bilet wizytowy, ale służący, jakby uprzedzony o jego przybyciu, milcząc otworzył drzwi do salonu.

Skonsternowało to Albina jeszcze więcej, niemógł bowiem jeszcze zebrać myśli, gdy wchodząc ujrzał Malwinę, promieniejącą pięknością, która mu, i nietylko jemu, głowę zawracała. Siedziała niedbale wsparta na kozetce, wdzięcznym ruchem, jak gibka gizela odpowiadając na głęboki ukłon wchodzącego Albina. Zdawała się być jednak zimną i sztywną, i tylko dwie palące swe źrenice utopiła w oczach Albina

Nie mógł wytrzymać tych spojrzeń; spuściwszy oczy, stał na środku salonu, zawstydzony jak żak, a ona, jakby się bawić chciała, wytrzymywała go przez chwilę w tej pozycji. Wreszcie wskazała mu fotelik naprzeciw siebie, prosząc by usiadł.

Machinalnie uczynił to Albin, nie podnosząc oczu. Obracając kapelusz w rękach, nie mógł się jeszcze zdobyć na słowa; nie wiedział zresztą, co mówić. Sytuacja stawała się dość kłopotliwą, głupią nawet dla Albina. Na ustach Malwiny zaigrał złośliwy uśmieszek i przechylając się na kozetce ku Albinowi, zapytała:

— Co mi pan miał powiedzieć, panie Albinie? słucham.

Począł ją przepraszać, bąkać coś o ubraniu, o formach towarzyskich ..

— Ależ to najmniejsza — powiedziała — między tak starymi znajomymi, to uchodzi. Daleką jestem od czynienia panu wyrzutów.

— Cóż mi pan powie? — dodała figlarnie.

Nie mógł już dłużej zapanować nad sobą. Męczarnie, jakie od tak dawna przechodził, wyczerpały jego wolę. Zaryzykowawszy w tej chwili wszystko, rzucił się ku rękom Malwiny i okrywając je gorącymi pocałunkami, namiętnie wyszeptał:

— Oto wszystko, co mam pani do powiedzenia.

— Panie Albinie! — zawołała lekko, usuwając mu ręce — zastanów się pan.

Udała zagniewaną, ale tylko udała, wiedziała bardzo dobrze z czem przyszedł i dlaczego przyszedł.

— Pani... — rzekł Albin — przebacz mojemu uniesieniu, ale ono ci starczy za odpowiedź moją, której w słowa ująć nie mogę. Zrób pani ze mną co zechcesz. Wskaż mi drzwi, pójdę precz, ale nie mogę zaprzeczyć tego przed tobą, że cię kocham, że szaleję.

Mimowolnie podniósł na nią oczy, jakby chciał wyczytać wrażenie, wywołane na Malwinie jego namiętnemi słowami. Zapomniał, że nie stoi w obec nieśmiałego, bojaźliwego jak gołębica dziewczątka, ale w obec lwicy salonowej, ostrzelanej z tego rodzaju rzeczami. Chłód powiał na niego od tej dumnej kobiety, niewidział w jej wiecznie tych samych oczach odbłysku tego wzruszenia, które jemu serce rozpierało.

— Że jesteś pan szaleńcem, wiem — wyrzekła patrząc mu w oczy, — ale nie zganiwszy pana za pierwsze szaleństwo, za ten list pański, niemogę go ganić i za drugie, przed chwilą popełnione. Nie powiem nawet, żebym się na pana gniewała. Być może, że od kogo innego nie przyjęłabym tego... ale od

pana?... sama jestem zresztą potroszę winną i za to odpokutować muszę.

Zaśmiała się złośliwie.

— No, cóż więcej? zapytała po chwili.

Albin, dzięki jej spokojowi, odzyskał równowagę. Wiedział już teraz, że pobłądził, że postąpił jak młodzieniaszek, puszczający się na romans z pensjonarką. — Rozczarował się co do prawdziwości uczuć Malwiny dla siebie, w co przedtem święcie wierzyl, i dorozumiewał się,teraz że ta gra niebyła łatwą. Ale właśnie dlatego że Malwina była trudną do pokonania, niechciał ustępować z placu.

— Pani — rzekł siląc się na spokój i uzbrajając się w odwagę — pani szydzisz ze mnie, a to się nie godzi. Na to nie zasłużyłem.

— A na cóż pan więcej zasłużyłeś? Czy dałam panu powody do tego, ażebyś pan sądził o mnie iż jestem... lub byłam kiedy nim zajętą?

— Jednakże zdawało mi się... mogłem sądzić.., jąkając się, szeptał prawie Albin. Po tym balu...

— Ach! to już tak dawno — ruszając ramionami odparła Malwina. — Być może... czasem się człowiek w karnawałowym szale rozmarzy...

— A więc daruj pani — z lekkiem drżeniem w głosie zaczął Albin — byłem istotnie szalony, mogąc pomyśleć nawet o tem, ażeby...

— Ażeby co? — przerwała mu.

— Ażeby — spuścił znowu oczy — ażeby uzyskać choć trochę przychylności pani dla mnie, na którym tyle robiłaś wrażenia. Daruj mi pani, zapomnij co było, jak i ja — dodał głosem przyciszonym — zapomnę o tej chwili szaleństwa, które mnie aż tu do pani przywiodło.

To wypowiedziawszy, powstał i skłonił się Malwinie, nie podnosząc na nią, oczu

Zamiast podać mu rękę na pożegnanie, powstała z kanapki, a zbliżając się do niego, ujęła go za rękę i pociągnęła ku sobie.

— Żal mi pana — rzekła z uśmiechem — siadaj pan i niewyobrażaj sobie, ażebym była tak złą i nielitościwą. Pomówimy ze sobą, jak dwoje dobrych przyjaciół, nie widzę bowiem przyczyny, dla której byśmy się mieli w gniewie i niechęci rozstawać. Nie chcę tego.

— Ależ pani — podchwycił ośmielony Albin — nigdybym nie śmiał żywić gniewu do pani.

— Tak się to mówi — nic łatwiejszego, jak o nienawiść dwojga młodych ludzi, dodaję że mężczyzny i kobiety — gdy się zawiodą w swych uczuciach. Tak byłoby i z nami. A więc niech się pan uspokoi i pomówmy rozsądnie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wiadomości artystyczne i literackie.

Nowe książki. W ostatnich czasach opuściły prasę następujące wydawnictwa: Ks. Feliks Tomalski: „Konferencje o Św. Wojciechu", Kielce 1898. — „Nowa mnemonika", czyli sztuka kształcenia i wzmocnienia pamięci, ułożył podług najnowszych i najlepszych źródeł P. Kalina. Z przedmową A. Langego. Warszawa 1898. — Adolf Dygasiński, „Szelągi kieleckie" (Ćwiek w głowie! Alegant. Dzień letnika). Kielce 1898. — H. Strażyńska: „Adam Mickiewicz", opowiadanie dla młodzieży. Kraków 1898. — P. J. K.: „Kodeń Sapiehów, jego kościoły i starożytny obraz Matki Boskiej Gwadalupeńskiej", z dawnych i współczesnych źródeł. Kraków 1898. - Adam Bełcikowski: „Adam Mickiewicz", psychologiczny wizerunek poety. Kraków 1898.

Nowy obraz: Profesor szkoły sztuk pięknych w Krakowie, artysta malarz Wyczółkowski, wykończył świeżo dużych rozmiarów obraz, przedstawiający Gewont, ów wspaniały szczyt tatrzański, górujący nad całem Zakopanem. Artysta namalował Gewont w nocy na tle gwiaździstego nieba i uwydatnił ostre kontury skalistego szczytu, podobne do leżącego rycerza w hełmie i zbroi. Obraz ten twórcy „Druida" i „Sarkofagów" będzie wystawiony w Wiedniu.

Nowa bibljoteka uniwersalna, wychodząca w Krakowie w zeszycie z 1. sierpnia rozpoczęła druk 2go tomu „Zapisków Berga" o powstaniu 1863 i 1864 r. Zapiski te, oparte na źródłach urzędowych, niemniej noszą cechę bezstronności.

Słownika języka polskiego, wydawanego przez J. Karłowicza i A. Kryńskiego, zeszyt 1. wyszedł w tych dniach.

W Odeonie warszawskim wystawiona będzie komedja Kazimierza Laskowskiego pt. „Panowie szlachta".

„Namowa". W warszawskiem Tow. zachęty sztuk pięknych wystawiono przed kilku dniami piękną grupę marmurową Cypriana Godebskiego „Namowa" (Persuasion), stanowiącą zmniejszoną podobiznę takiej samej grupy, wykonanej na zamówienie rządu francuskiego dla muzeum w Lille. Grupa przedstawia Fauna, trzymającego w objęciach dziewczynę i szepczącego jej do ucha.

Gabrjela Preissowa, znana literatka czeska, wydała nowy zbiorek prac pt. „Kdyz hvezdy padely"

„W Revue des Revues" miesięczniku paryskim pojawiło się w ostatnim numerze studjum literackie p. Walerji Marrenowej pt. „Le mouvement littéraire en Pologne". Autorka artykułu streszcza w swej pracy dorobek nasz literacki z doby ostatniej.

Przekłady: „Lodzer Ztg." rozpoczęła druk przedkładu niemieckiego nowelki Sienkiewicza pt. „Lux in tenebris lucet" — W Paryżu wyszedł lipcowy zeszyt „Bulletin polonais" zawierający siódmą pieśń „Pana Tadeusza" w żywem, barwnem i poprawnem tłómaczeniu prof. W. Gasztowta.